

Pismo.

MAGAZYN OPINII

CZERWIEC 2021 | NR 6 (42)

LITERATURA

Joanna Bator
Mikołaj Łoziński

ROZMOWA

Jak się zmienia
polska seksualność?

ESEJ

Trzeba ujarzmić
Big Tech

REPORTAŻ

Prawo wyboru
po tajsku

CENA: 15,99 zł (W TYM 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258

0.6>



9 772544 502104

MAGAZYN OPINII

Pismo.

CZERWIEC 2021 | NR 6 (42)





**Kup prenumeratę „Pisma”
lub dostęp online**

**i słuchaj nowego sezonu
Śledztwa Pisma**

magazynpismo.pl/prenumerata



**Śledztwo
Pisma.**

MAGAZYN OPINII Pismo.

CZERWIEC 2021

PROZA FELIETON

Trzy i pół godziny | 6
JOANNA BATOR

2 | TYMCZASEM **Długie zdanie**
MARCIN WICHA

Trzy dni z życia Józefy Joteyko | 68
MIKOŁAJ ŁOZIŃSKI

45 | NIE WSZYSTKO STRACONE **Podejść do zmysłów**
ANIA MORAWIEC o ciele, które doświadcza żywiołów

Perełka | 94
JĘDRZEJ MALKO

96 | PRZYPISY **À propos zmysłowości**
ZUZANNA KOWALCZYK

RZECZ GUSTU

Z PISMEM U...

Redakcja poleca | 3
wydarzenia kulturalne w czerwcu

16 | **Edukatorcki Aleksandry Józefowskiej**
KAROLINA SULEJ sprawdza, jak i po co prowadzi się w Polsce edukację seksualną

APTECZKA

ROZMOWA

Co w niej trzyma... | 93
KRZYSZTOF ZALEWSKI

26 | **Łechtaczka w lusterku kultury**
KAROLINA LEWESTAM pyta AGNIESZKĘ KOŚCIAŃSKĄ o seksualność Polek i Polaków

POEZJA

REPORTAŻ

Gdy to się skończy | 15
KRYSTYNA DĄBROWSKA

36 | **Żyły się przede mną chowały, mamó**
ANNA KIEDRZYNEK o życiu z chorobą, na którą cierpi co setna osoba w Polsce

[...] | 33
PETER MICKWITZ

62 | **Po cichu**
URSZULA JABŁONSKA opowiada, jak w Tajlandii zliberalizowano prawo do aborcji

Koniec roku obrotowego [fragmenty] | 35
NATALIA MALEK

ESEJ

OBRAZ

54 | **Czy można przewidzieć wynik rewolucji?**
MICHAŁ LUBINA prowadzi przez dekady burzliwych zmian politycznych w Birnie

CYKL PRAWA CZŁOWIEKA **Prawo pracy** | 4
RATS AGENCY

72 | **Efekt domina**
PIOTR FORTUNA sprawdza, czy można ujarzmić wszechwładzę Big Techu

FOTOREPORTAŻ **Siewki** | 46
MARTA KIELA-CZERNIK

WOKÓŁ KSIĄŻEK

KOMIKS **Ten twój stary** | 80
IGOR JAREK, JUDYTA SOSNA

86 | **Niesamowita zamiana miejsc**
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK o fantazji bycia kimś innym niż my

GALERIA

BARBARA FALENDER, JADWIGA SAWICKA

OKŁADKA **Papieros po**
JUSTYNA FRĄCKIEWICZ

MAGAZYN OPINII
Pismo.

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkinie Zarządu:
Magdalena Kicińska, Kalina Wyszyńska

Pismo. Magazyn opinii
www.magazynpismo.pl

Adres redakcji: Pismo. Magazyn opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, Kultura i Sekretarzowanie Redakcji: Katarzyna Kazmierowska,
Felierton: Marcin Wicha, Ania Morawiec, Idee: Karolina Lewestam, Zuzanna Kowalczyk, Technologie: Martyna Trykozko,
Redakcja: Marcin Czajkowski, Urszula Kifer, Zofia Sawicka, Korekta: Monika Marczyk, Dorota Śrutowska,
Szfefowa Projektów Cyfrowych: Barbara Sowa, Wydanie Cyfrowe: Mateusz Roesler,
Projekt makiety: Jacek Utko, Redaktorka Artystyczna: Karolina Mazurkiewicz,
Szfefowa Marketingu i Sprzedaży: Kalina Wyszyńska, Promocja: Ewa Salamon, Fundraising: Natalia Czarkowska,
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, Prenumerata: www.magazynpismo.pl/prenumerata

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.



MARCIN WICHA
(ur. 1972), grafik
i pisarz. Nagrodzony
Paszportem „Polityki”
2017 w kategorii
literatura. Laureat
Nagrody Literackiej
Nike 2018 za
*Rzeczy, których
nie wyrzuciłem.*
W kwietniu ukazała
się jego najnowsza
książka *Kierunek
zwiedzania.*

Długie zdanie

Pora wracać, pora uwierzyć, że to już koniec albo chociaż dłuższa przerwa, czas wyciągnąć wnioski, ale właściwie jakie wnioski, kiedy specjaliści mówią, że na coś takiego praktycznie nie sposób się przygotować, a kiedy specjaliści tak twierdzą, to my możemy najwyżej podnieść rękę i grzecznie zapytać, czy chociaż teoretycznie nie dałoby się czegoś zrobić, wtedy specjaliści, że teoretycznie to owszem, teoretycznie wszystko jest możliwe, można zabezpieczyć wolne łóżka i puste oddziały, gromadzić rezerwy, uzupełniać zapasy, napełniać butle, trzymać w odwodzie personel i czekać, czekać, jednakże koszty, tutaj specjaliści zawieszają głos, proszę pomyśleć o wygenerowanych kosztach, takich kosztów nie udźwignęłoby żadne państwo świata, dlatego nie przygotowujemy się na nową pandemię, upadek meteora ani wybuch superwulkanu, bo przygotować można się tylko na niewielkie kataklizmy, takie jak mecz z Wyspami Owczymi, opóźniona premiera filmu o bitwie warszawskiej, msza papieska, walki w klatkach lub pożegnalne tournée Madonny i dlatego brakuje szpitali, ale przynajmniej mamy stadiony, mnóstwo stadionów, wspinających konstrukcji w barwach flagi narodowej lub bursztynu, mamy stadiony, które są jak roślinożerne dinozaury, żółwie z Galapagos czy płetwale błękitne, świetnie wyglądają na okładkach „National Geographic”, ale wystarczy, że coś pójdzie nie tak, i zamieniają się w bezradną w górę mięsa, leżą półżywe, sapią i generują koszty, nie ma nawet wolontariuszy z plastikowymi wiaderkami, którzy próbowaliby je zepchnąć do wody, bo nie ma już nic, a w szczególności wyścigów motocyklowych, Phila Collinsa, pokazów sztucznych ogni, narodowego dnia tenisa ani ślizgawki, wkrótce żarty, lektury, zakwas i doniczki przestają nam wystarczać, nie pomaga nawet ratowanie tej tajskiej knajpy, która dowozi, bo robi się naprawdę strasznie i już każdy zna kogoś kto albo komu ktoś, a z radia płyną nowe raporty i mutacje, rosną współczynniki reprodukcji, mijają tygodnie i miesiące umieralności, aż...

...aż przychodzi kolej, przychodzi ten dzień, ciepłe postapokaliptyczne popołudnie, spacerkiem przez błonia, jak pięknie wygląda dziś stadion i teraz trzeba ostrożnie, bardzo ostrożnie, wyłuskać z portfela dowód osobisty, chwycić plastik samymi paznokciami, bezdotykowo zamachać, a co pan mi tu daje, woła pierwsza żołnierka, przecież to do bankomatu, oj, bo obciążymy, chichocze druga i zaraz się robi weselej, kiedy tak skanują, taksują, porównują maskę ze zdjęciem, zdjęcie ze skierowaniem, sprawdzają temperaturkę, kierują, wprowadzają do systemu, prosto tunelem pan idzie, cały czas w stronę murawy, już tam żołnierze pokażą, więc prosto tunelem, był taki japoński komiks, w podziemiach centrum olimpijskiego zamieszkał potwór, do windy, ostrożnie, bardzo ostrożnie, kłykiem na drugie piętro, bo tam się wypełnia ankietę, nie, nie, nie, nie dotyczy, no i pięknie, cieszy się żołnierz, a wszędzie wokół krążą mundury i fartuchy, fartuchy skupione, mundury podeksycytowane, trochę jak na obozie harcerskim, biała służba, radosna bieganina z plecakami, cętkami, zapięciami na rzepy, tylko żadnych zdjęć, pan to skasuje, jeszcze ciśnienie, jeszcze w prawo, jeszcze w lewo, jeszcze w ramię i ciach, proszę odczekać kwadrans, jak żołnierz odczyta imię, odebrać papierek i można iść, w razie czego panadol, jak oni piszą, mruczy żołnierz do żołnierki, pani Anna bez nazwiska, czyta żołnierz, bo RODO, pani Beata, czyta żołnierz powoli, pani chyba, pani nie rozczytam, pan ja pierdolę, weź, ty spróbuj, mówi żołnierz do żołnierki, to ja, to jak, to jakby co panadol i znów tunel, ale teraz krótszy, jaśniejszy, ręka sama sięga po telefon, ekran dotykowy klei się do ucha, można obwieścić nowinę, halo, jestem po pierwszej, ja po pierwszej, a ty po której, ja tym, a ty czym, ja tu, a ty gdzie, a ty jak, a ty kiedy, ho, ho, moderna w Siedlcach, fajzer w Ciechanowie, džonson w Przasnyszu, żart na temat chipów, żart o Billu Gatesie, żart o DNA i embrionach, bo w Polsce na koniec wszystko jest o embrionach, i załatwione, czas do domu, może to już koniec, może teraz nasza kolej, żeby odkryć to, co nas zawsze tak dziwiło u starszych, ile to ludzie potrafią zapomnieć. I jak szybko.

Rzecz gustu,

CZYLI REDAKCJA „PISMA”
poleca w **cz**erwcu

Wystawa DIZAJN.

Odsłona poznańska w CK Zamek

W Centrum Kultury Zamek w Poznaniu trwa właśnie wystawa zatytułowana DIZAJN. Odsłona poznańska, poświęcona kulturze materialnej i użytkowej autorstwa lokalnych twórców. Wystawa koncentruje się na zmianach, jakie zaszły na przestrzeni ostatnich siedemdziesięciu lat w polskiej myśli projektowej, estetyce i technologii. Obok wyrobów przemysłowych zobaczyć można również kilka projektów powstałych dla konkretnych miejsc w Poznaniu, które wpisały się na stałe w historię polskiego dizajnu. Wystawa potrwa do 12 września.

WIĘCEJ: ckzamek.pl

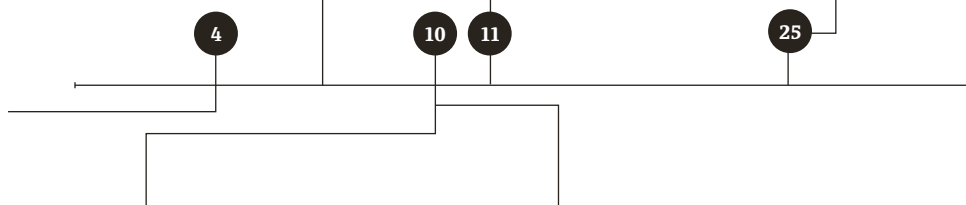
Lubelska Noc Kultury

Noc Kultury potrwa w tym roku aż kilka tygodni – do 21 lipca. W tym czasie w obrębie lubelskiego Starego Miasta będzie można odkrywać zmieniające się cyklicznie instalacje artystyczne. Organizatorzy wydarzenia zapowiadają także – jeśli reżim pandemiczny na to pozwoli – spotkania literackie i koncerty, analogicznie do poprzednich edycji festiwalu. Tegorocznym hasłem przewodnim wydarzenia jest „MOC kultury”.

WIĘCEJ: nockultury.pl



Czerwiec 2021



Fotofestiwal w Łodzi

Między 10 a 27 czerwca odbędzie się dwudziesta edycja Fotofestiwalu – międzynarodowego festiwalu fotografii w Łodzi. W ramach wydarzenia zaplanowano ponad czterdzieści wystaw, na które składa się prezentacja prac około 150 artystów wizualnych, w tym obszerny blok poświęcony współczesnej fotografii światowej. Tematem przewodnim festiwalu pozostaje jednak Łódź – wyjątkowe miasto, w którego tkance mieszają się wpływy sztuki awangardowej i kultury robotniczej.

WIĘCEJ: fotofestiwal.com



Big Book Festival oraz Izabelińskie Spotkania z Książką

Czerwiec to przede wszystkim rozpoczęcie sezonu letnich festiwali literackich. Czekamy zwłaszcza na Big Book Festival (na warszawskim Mokotowie i online), w ramach którego między 25 a 27 czerwca organizatorzy zapowiedzieli około czterdziestu wydarzeń. To okazja do spotkań z pisarzami, artystami i czytelnikami.

Z kolei między 11 a 13 czerwca warto znaleźć się w podwarszawskiej Puszczy Kampinoskiej, aby wziąć udział w Izabelińskich Spotkaniach z Książką. To festiwal promujący literaturę i kulturę dotyczącą niecodziennego sąsiedztwa puszczy i stolicy oraz wspólnych wyzwań cywilizacyjnych.

WIĘCEJ: bigbookfestival.pl, planetaizabelin.pl



TEDx Warsaw w Teatrze Capitol

Dziesiątego czerwca w formule hybrydowej (częściowo online, a częściowo w Teatrze Capitol) odbędzie się jedenasta edycja TEDx Warsaw – corocznego wydarzenia zrzeszającego inspirujących mówców: wizjonerów, działaczy, aktywistów i specjalistów rozmaitych dziedzin. W tym roku wysłuchać będzie można m.in. wystąpienia Małgorzaty Bonikowskiej o polaryzacji w polityce, Macieja Gośniowskiego o definicji męskości czy Marianny Kłosińskiej o edukacji alternatywnej.

WIĘCEJ: tedxwarsaw.org



Prawo pracy

zdjęcie FILIP SKROŃC

tekst OLA KLUCZYK, JULIA TRAMP

RATS AGENCY

Praca seksualna to praca. Wymaga szeregu kompetencji i doświadczenia, bo działamy na emocjach i z intymnością. Jako osoby pracujące seksualnie, jesteśmy świadome swojego życia, wyboru i praw.

Tymczasem żyjemy w skryminalizowanej rzeczywistości, co, jak zauważa Amnesty International, „dodatkowo nam zagraża, marginalizuje nas i utrudnia szukanie ochrony przed przemocą, dostępu do usług prawnych i społecznych”. Dlatego jesteśmy za całkowitą dekryminalizacją pracy seksualnej.

Prawo chroni obyczajność, ale nas pozostawia samym sobie, uznaje za ofiary bez podmiotowości i sprawczości. Nie mamy żadnej reprezentacji politycznej, mimo że nasze postulaty są przede wszystkim pracownicze. Jesteśmy wystawione na społeczny ostracyzm i narażone na przemoc systemową, także ze strony policji.

Jednocześnie media prześcigają się w kontrowersyjnych nagłówkach, patologizowaniu i fetyszowaniu naszych doświadczeń, które są deprecjonowane i podważane, a nasze głosy uciszane i wymazywane. Stąd pomysł na *dwie dupy o dupie*, czyli podcast, w którym dzielimy się historiami z branży, ale też edukujemy – na własnych zasadach, bez dyscyplinowania i podporządkowania się komukolwiek.

Na zdjęciu:
Ola Kluczyk i Julia Tramp

29 400

• liczba odtworzeń trzech pierwszych odcinków podcastu





Trzy i pół godziny

tekst JOANNA BATOR



—
Nie jest łatwo znaleźć odpowiednie miejsce do życia, jeśli jest się kobietą tak zajętą jak ja. Na poszukiwania, które prowadzę od dwóch lat, mam tylko środy od dziewiątej do dwunastej trzydzieści. Trzy i pół godziny to mnóstwo czasu, jeśli umie się go właściwie zorganizować, a ja jestem w tym dobra. Od kiedy urodził się mój syn, codziennie wstaję o piętej i nie zdarza mi się zasnąć.

Dzisiaj zrobiłam tak samo, nakarmiłam Karolka, przewinęłam i umyłam, posprzątałam mieszkanie, ugotowałam i zniksowałam zupkę na obiad, usmażyłam naleśniki. Za dziesięć dziewiąta byłam już gotowa, oczekując dźwięku domofonu, który rozległ się z pięciominutowym opóźnieniem, choć liczyłam na kilka dodatkowych minut. Zawsze miałam taką nadzieję, choć Sylwia nigdy dotąd nie przyszła wcześniej. Minęłam się z nią w drzwiach i zdążyłam tylko rzucić przez ramię, że usmażyłam naleśniki, niech zje sobie na drugie śniadanie. Śmierdziała papierosami, pewnie znów zapaliła w bramie, zanim do nas przyszła. Nie pozwalałam jej palić w domu, dym szkodzi Karolkowi, ale wiem, że i tak to robi. Pobiegłam na przystanek autobusowy, gdzie kłębił się tłum pasażerów. Akurat dzisiaj miałam samochód w warsztacie.

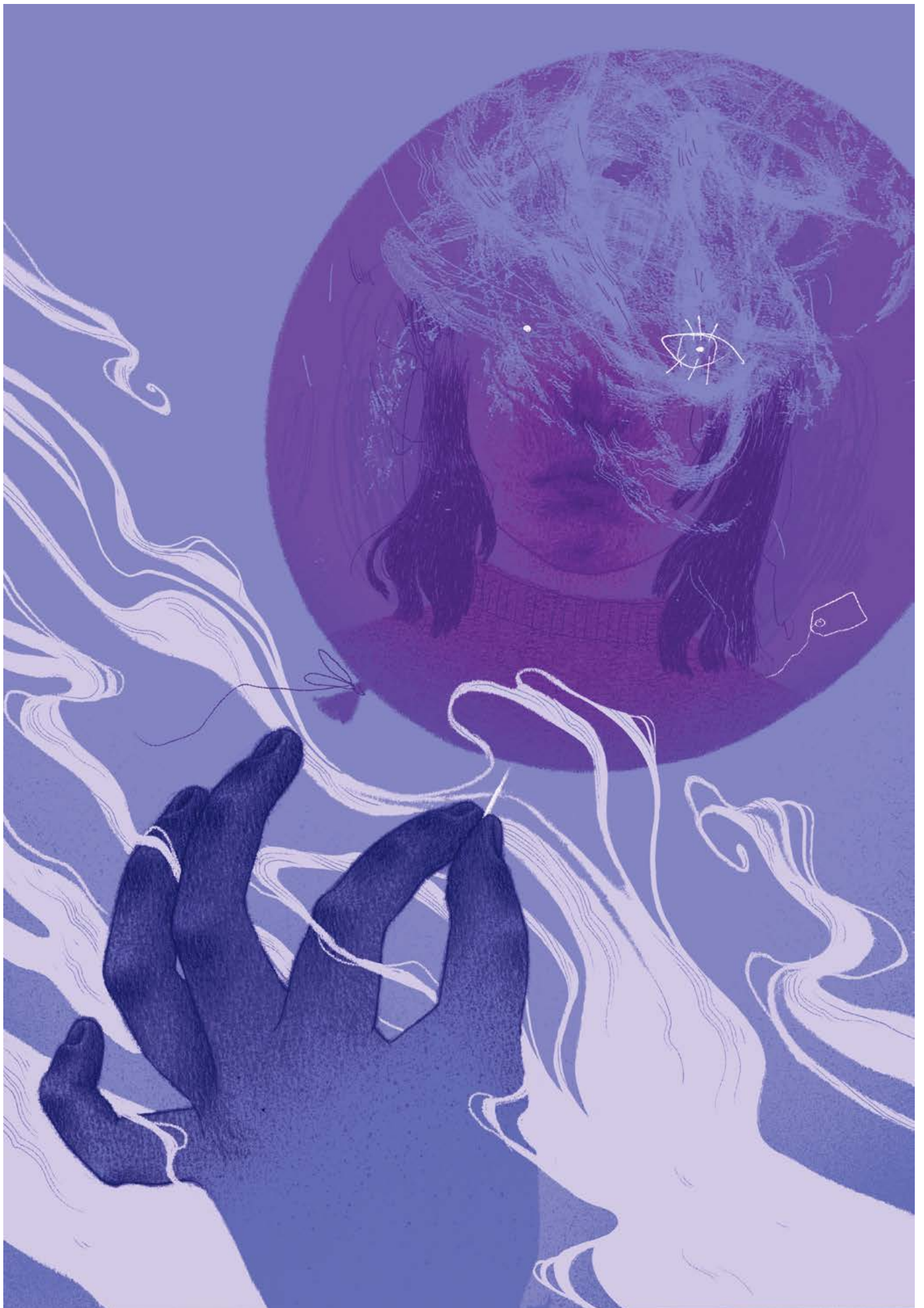
Na dworcu centralnym musiałam złapać kolejkę podmiejską, by dojechać do Podkowy Leśnej, małej miejscowości położonej

wśród lasów, gdzie był dom na sprzedaż, który mnie zainteresował. Przedtem zaplanowałam jeszcze szybkie zakupy w Żółtych Tarasach. Chodzenie po sklepach to strata czasu, więc wcześniej obejrzałam ubrania w internecie i dlatego w realu wszystko zajęło mi tylko dwadzieścia minut. Jeśli chodzi o ciuchy, zawsze wiem, czego chcę. Beżowy wełniany płaszcz, proste czarne spodnie, kaszmirowy sweter w kolorze wina i jedwabna apaszka, rzeczy idealne na jesień dla kobiety spędzającej większość czasu w pracy wymagającej eleganckiego, profesjonalnego wyglądu bez udziwnień. Przebrałam się w toalecie w podziemiach dworca. To była ostatnia ze staroświeckich toalet z babcią klozetową, której płacono się trzy złote, a nie cztery jak w tych nowoczesnych z automatyczną bramką. Wysłałam stamtąd jako zupełnie inna osoba.

W kolejce sunącej przez podwarszawskie pejzaże jeszcze raz przeglądałam w telefonie materiały z agencji nieruchomości. Na zdjęciach dom wydawał się idealny, ale starałam się powściągnąć entuzjazm. Nie po raz pierwszy może się okazać, że rzeczywistość nie pasuje do opisu. Jestem bardzo wymagającą klientką i uparłam się, że znajdę idealne miejsce. Mam czterdzieści siedem lat i nie chcę marnować czasu na kolejne przeprowadzki, tylko w końcu gdzieś osiedzić z moją rodziną. Obecne lokum jest tymczasowe, na pewno nie zamierzam zo-

stać w nim na zawsze. Dom, na oględziny którego umówiłam się z agentem, posadowiony był przy małej uliczce o pięknej nazwie: Modrzewiowa. Zbudowany przed wojną i odremontowany dwa lata temu, składał się z kuchni, jadalni, salonu, pokoju gościnnego i dużego gabinetu na dole. Idealnie! Gabinet z oknem na ogród. Na górze były cztery sypialnie. Do tego basen, piwniczka na wino i strych. Ogród zadbane, starodrzew i piękne rododendrony, które na zamieszczonych na stronie agencji fotografiach zostały uchwycone w pełnym rozkwicie, choć teraz była jesień. Idealny mariaż tradycji i nowoczesności dla wymagających – zachwalała agencyjna notka i gdy stanęłam przed kutą żelazną bramą, wszystko jeszcze wydawało się w porządku.

Agent spóźnił się siedem minut i zirytował mnie ten dowód braku profesjonalizmu. Mój czas jest cenny! – Przepraszam, ale poprzedni klient zatrzymał mnie dłużej – usprawiedliwił się głupio. – Musi pan lepiej zorganizować swój czas – pouczyłam go. – Mam na głowie całą kancelarię. – Agent patrzył na mnie obojętnie. Znam taki wzrok. Chłystek koło trzydziestki, mówiący fałszem, myśli, że cały świat to jego plac zabaw, i wyobraża sobie, że sprzedaje rezydencje w Hollywood, a nie w jakiejś dziurze pod Warszawą. Uliczki nie były utwardzone i w dziurach stała deszczowa woda. Ubłociałam sobie buty jakbym trafiła na jakąś wio-



chę. – Nie przyjechała pani autem? – zdziwił się agent. – Mam w warsztacie. Akurat takie samo jak to – wskazałam głową na stojący po drugiej stronie uliczki pojazd w kolorze strażackiej czerwieni. – Minias! Ładne damskie autko – podliział się mężczyzna. – Luksusowe! – Nieźle – przyznałam obojętnie. – Jak w leasingu, to powinni pani dać zastępczy na czas naprawy – ciągnął agent, otwierając bramę. – Możemy przejść do rzeczy? – ponagliłam go. Wścibski dupek.

Drzwi domu skrzyknęły przy otwieraniu, jakby dawno nikt ich nie ruszał, a ze środka buchnął w nas chłodny kłęb powietrza uwięzionego w nieużywanym wnętrzu. Czuję w nim było resztki dawnego życia, kuchnię, naftalinę, sosnowy odświeżacz, przypalone mleko. Nagle wydało mi się to wszystko nieprzyjemne, odrażające. – Parter! – oznajmił agent. – Salon! Z kominkiem ekologicznym. – Czy to na pewno modrzew? – zaniepokoiła mnie podłoga. Sprawiała bardziej liche wrażenie niż na zdjęciach. – Wygląda na świerk – pochylałam się i przejechałam palcem po desce. – Modrzew! – uspokoił mnie agent. – Na sto procent. Łazienka gościnną – otworzył drzwi i zobaczyłam, że stan armatury i glazury wcale nie jest tak nieskazitelny. Przy sedesie odcinała się od podłogi brunatna szrama nierówno wypełniona fugą, jacuzzi wydawało się żółtawe, zużyte, na armaturze odznaczały się rdzawe plamy. – Raczej do remontu – westchnęłam rozczarowana. Marzyłam o domu, do którego po prostu można się wprowadzić, zleciwszy wcześniej generalne sprzątnięcie, a nie o takim, który wymaga nakładów pracy i czasu. Po obejrzeniu piętra zdałam sobie sprawę z kolejnych mankamentów. Na przykład ekspozycja. Główna sypialnia z widokiem na wschód? Fatalny pomysł. Zachód albo południe, wyraźnie pytałam od początku, czy okna wychodzą na pewno na pożądaną przez mnie stronę świata. Zanim pożegnałam się z agentem, jeszcze raz rzuciłam okiem na kuchnię i przylegający do niej duży pokój.

– Naprawdę pokój tuż przy kuchni uważa pan za idealny na gabinet? Mam przyjmować klientów, kiedy gosposia robi smoothie dla

mojego syna? Albo tłucze kotlety? – Agent nie przekonał mnie zapewnieniami o grubych ścianach i porządnym, prawie dźwiękoszczelnym drzwiach, a basen w podziemiu okazał się o wiele mniejszy, niż się spodziewałam, wręcz klaustrofobiczny. Koło pustego wykafelkowanego grobowca po wodzie stały brzydkie leżaki ze sztucznego rattanu, a na nich kurzyły się porzucone dawno temu poduszki w kolorze pleśni. – Doprawdy – skrzywiłam się już tylko z niesmakiem, gdy zacięła się automatyczna brama garażu, którego wnętrza chciał mi zaprezentować ten niekompetentny chłystek w za ciasnych spodniach. – Jeśli to ma być luksusowa rezydencja, w której klasyka i tradycja spotykają się z nowoczesnością, to ja dziękuję. Proszę do mnie zadzwonić, gdy będzie pan miał coś naprawdę wartego uwagi – pożegnałam się chłodno. Ludzie nie zdają sobie sprawy, jak niektórzy są zajęci, i nie cenią cudzego czasu.

W ostatniej chwili wskoczyłam do kolejki i poślizgnęłam się, z trudem odzyskując równowagę. Zakręciło mi się w głowie, a ból kręgosłupa pojawił się nagle jak złośliwy kopniak. Jakaś kobieta wyciągnęła do mnie rękę. Była pewnie w moim wieku, silna, żyłasta i bardzo zadbana. Nachyliła się i przysłała mi do głowy absurdalna myśl, że mnie pocałuje, ale tylko szepnęła mi do ucha: – Metka pani wystaje. Na szyi – dodała i poczułam falę wstydu. Jak mogłam zapomnieć? – Wszystko w porządku? – upewniła się, widząc mój grymas bólu. Chciałam jej powiedzieć, że to przez kontuzję, jakiej doznałam na nartach w Szwajcarii, ale zadzwonił telefon nieznanym i szybko wydała komuś polecenie przenikliwym szeptem. – Trzeba umyć okna na dole i przyciąć starą gruszę – tyle usłyszałam.

W ogrodzie domu, który właśnie obejrzałam, nie było nawet jednego drzewa owocowego – bez sensu. Czuję na karku nieprzyjemny dotyk metki płaszcza, a jego odbicie w szybie kolejki utwierdziło mnie w przekonaniu, że zakup był chybiony i powinnam go zwrócić. Od dawna nie miałam czasu na spokojne zakupy, to wszystko przez pośpiech i nadmiar pracy. Ból w krzyżu nasilił

się i sięgnęłam po tabletkę. Karolek nie był już taki lekki, a ciągle go dźwigałam. „Mamo, noś! Mamo, noś!” Nie musiał nic mówić, mogłam to wyczytać w jego oczach. Byłam mamą samonośną jak samonośne pończochy, które trzymają się bez pasa, ale czasem nie dawałam rady i odbiło się to na moim kręgosłupie. Nieoperacyjne zwyrodnienie. Trzeba po prostu zacisnąć zęby i robić swoje, bo nie mam czasu na rehabilitacyjne pierdoły i bycenie się w sanatorium. Basen! W tym, który widziałam, nie rozpędziłabym się specjalnie. Pociąg stał od kilku minut na stacji Aleje Jerozolimskie i po raz kolejny spojrzałam na zegarek. Prawie kwadrans spóźnienia. Po wagonie poniosła się szeptanka, że był wypadek, ktoś rzucił się na tory. Naprawdę nikt nie szanuje czasu ciężko pracujących kobiet. Nie zdążę już zwrócić rzeczy, które przestały mi się podobać, a nawet jeśli, nie zrobię odpowiedniej awantury na temat tego, co sądzę o sprzedaży takich bubli.

Gdy w końcu kolejka dotelepała się do końcowej stacji Warszawa Centralna, stałam przy drzwiach, gotowa pierwsza wsiąść i ruszyć do galerii. Nie lubię mieć niezadowolonych spraw, a nie tylko płaszcz, lecz również sweter przestał mi się podobać, ich jakość i komfort użytkowania pozostawiały wiele do życzenia. Sweter nieprzyjemnie opinał moje ramiona, a płaszcz odstawał, co zauważyłam dopiero w łazienkowym lustrze domu, który tak mnie rozczarował. Przebrałam się w tej samej toalecie w swój golf i kurtkę, a potem zwróciłam nieudane zakupy. – Ich jakość i komfort użytkowania pozostawiają wiele do życzenia – powiedziałam ekspedientce, ale nie zwróciła na mnie większej uwagi. Interesowało ją tylko, czy mam paragon, i przynajmniej nie marnowała mojego czasu. Na pewno nie miała wiele do roboty po pracy, bo jej długie pastelowe paznokcie nie przetrwałyby żadnego z obowiązków, jakie mnie dziś czekały przy dziecku. Stukała nimi o ladę w irytujący sposób, jakby nadawała Morse'em.

Autobus mi uciekł i wiedziałam, że jeśli następny spóźni się choć o pięć minut, nie zdążę i Sylwia zażąda dodatkowych pieniędzy.

dzy wyliczonych co do minuty. Będzie wzdychać i jojczyć, mrugając małymi ciemnymi oczkami skrzętnej myszki. Jej przewaga polega na tym, że Karolek ją lubi, cieszy się na jej widok, a ona dzięki temu zna swoją wartość. Gdyby zanieczyściła opiekę nad moim synkiem, poznałabym od razu. Równie trudno znaleźć dobrą nianię, co odpowiedni dom.

– Siedemnaście minut – oznajmiła Sylwia, gdy weszłam. Niby z uśmiechem, że to nic takiego, ale westchnęła w wilgotny, sapiący sposób, który szczególnie mnie irytował. Stała już ubrana, zapięta na wszystkie guziki w swoim ohydny różowym płaszczku z futerkiem. – I znowu drzwi pomazali – dodała. – Starłam. – „No, bohaterka” – pomyślałam. Co za heroizm, doprawdy. – Ci z dziesiątego? – Nad nami mieszkała rodzina z dwójką paskudnych, rozwydrzonych dzieci, którym nieraz zwracałam uwagę. Kamelka i Adrianek walili w nasze drzwi dla zabawy, a czasem coś na nich pisali. W pośpiechu zdejmowałam swoją starą kurtkę i buty. Karolek już usłyszał, że wróciłam i wołał mnie, popiskując na swój sposób. Poczułam jak zawsze szarpnięcie w okolicy pępka. – A kto inny? – prychnęła Sylwia. – Śmiali się i przedrzeźniali, jak wyszłam z małym na dwór – opiekunka Karolka oparła się o drzwi, jakby nagle przestało jej się spieszyć. Za wytarcie obelg z drzwi chyba też oczekiwała dodatkowej zapłaty, ale jej niedoczekanie. – A poresztą – zaczęła, patrząc na mnie czujnie. Czułam, co się święci, zanim wydusiła to z siebie. – Poresztą mi się już nie oplaca. Za samo sprzątanie gdzie indziej więcej zarobię w tym czasie, co tu za opiekę. – Przeciągała sylaby, jakby je żuła i miała zamiar zaraz nadmuchać z nich balon. Nie zdziwiłabym się, gdyby pojawił się na jej wąskich wrednych ustach. Sylwia pracowała u nas prawie dwa lata, najdłużej ze wszystkich, i myślałam, że się dogadałyśmy przy ostatniej podwyżce.

Nawet nie posprzątała porządnie kuchni. W zlewie stały brudne naczynia, a na stole wysychał samotny naleśnik. Nie wiedziałam, że Sylwia zje aż dziewięć. Czekoladowy syrop wsiąkł w ciasto, tworząc brzydkie, brunatne plamy. Połknęłam przekąskę na dwa razy i poszłam do Karolka. Leżał, patrząc w sufit, a gdy mnie usłyszał, obrócił głowę w moją stronę i powiedział „mama”, choć nikt inny nie słyszał tych dwóch sylab w jego

gaworzeniu. Usiadłam koło niego na łóżku, poczułam dobrze znany zapach mojego dziecka. Muszę jeszcze lepiej zaplanować czas następnym razem, bo moje spóźnienie ośmieliło Sylwię do próby kolejnego wyłudzenia podwyżki. Co zrobię, jeśli porzuci posadę? Karolek zamknął oczy i myślałam, że zaśnie, bo opiekunka miała go nakarmić przed wyjściem, ale był niespokojny. Poruszył ustami, dotknęłam jego dłoni. – Jesteś głodny? – Nie odpowiedział, ale umiałam czytać z wyrazu jego twarzy jak każda dobra matka. Miał taką delikatną skórę i tylko



ja wiedziałam, ile wysiłku kosztuje utrzymanie jej w dobrej kondycji. Karolek poruszył się i jęknął. Sprawdziłam mu pampersa i przypomniałam sobie, że chyba kończy mi się zapas. Miał sucho i ciepłej pomyślałam o Sylwii, bo przewinęła go przed moim powrotem. Poczułam zapach ciała mojego dziecka, materaca przesiąkniętego wydzielinami i maści nagietkowej, której ostatnio używałam do jego pośladków i krocza. Karolek nie lubił przewijania, jakby się wstydził, a mnie coraz trudniej było go podnosić. – Mój malutki synek – szepnęłam uspokajająco, ale jego ciało nadal było napięte, wstrząsane wewnętrznymi wybuchami. Lubił, gdy mu śpiewałam, to go zawsze uspokajało. Chciał tylko tej jednej kołysanki, której słowa na zawsze przyłgnęły do mojego języka: „Był sobie król, był sobie paż i była też królowa. Żyli wśród róż, nie znali burz, rzecz najzupełniej pewna. Żyli wśród róż, nie znali burz, rzecz najzupełniej pewna”. Ciało Karolka się rozluźniło, twarz złagodniała. Pogładziłam go po głowie, miał włosy po ojcu, ciemne i mocne jak zwierzęca sierść. Ja blondynka z cienkimi piórkami, on prawdziwy brunet, kędzierzawy i śniady, taka piękna para. „Południowiec” – mówiła moja matka. „Ale sobie południowca znalazłaś na tych studiach! Za ładny na męża”. I na męża, i na ojca okazał się za ładny. Zwłaszcza na ojca, bo zawsze chciał po sobie zostawić geny, tak mówił. Geny Karolka uznał wyłącznie za moją sprawę. Jednak syn ma zarost po nim. Identyfikacja. Mój mąż rano się ogolił, a po południu już miał sine poliki. – Moje poliki – żartobliwie chwyciłam policzek syna, a on w odpowiedzi zajączał cicho jak kocię.

Oferty agencji nieruchomości najczęściej przeglądałam nocą. Lubię ciszę, jaka wtedy zapada, bo Karolek najlepiej śpi między północą a trzecią trzydzięci. Nie słychać jego jęków, nie słychać kłótni sąsiadów ani pianina z góry. Sąsiadka, ta głupia krowa, uparła się, że jej syn jest geniuszem muzycznym, a córka – tupiąca słońwiatymi nogami nad naszym mieszkaniem – nową Piną Bausch. Gdyby chociaż Kamelka i Adrianek zsynchronizowali te koszmarnie hałasy, ale nie, gówniara zaczyna brykać przy latynoskiej rąbance, kiedy jej braciszek zamyka pianino, i trwa to godzinami. Karolek nie może spać, denerwuje się, a to źle wpływa na jego żołądek. – Pani tego nie rozumie – powiedziała mi stara, gdy zwróciłam jej uwagę, żeby poskromiła bachory; a tańcząca grubaska prychnęła pod nosem. Powinna mieć na imię Kajzerka, a nie Kamelka. – Pani tego nie rozumie, bo nigdy nie była pani w mojej sytuacji. Zdrowe, żywe dzieci robią hałas! – Durna małpa, jakby moje nie żyło! Też kiedyś lubiłam tańczyć, a w domu, który obejrzałam w tym dętym miasteczku, nawet nie było gdzie. Chyba że w salonie ze świerkową podłogą udającą modrzew.

—

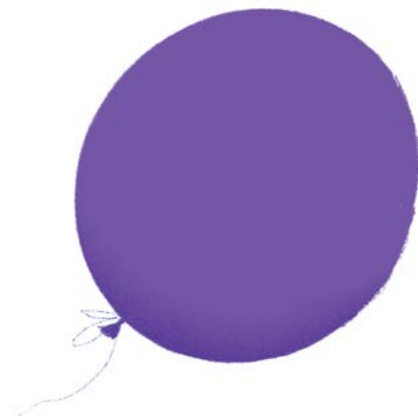
TO MIESZKANIE spodobało mi się od razu. W sumie lubię światła wielkiego miasta, a w jakiejś dziurze pod Warszawą ani ja, ani Karolek nie bylibyśmy szczęśliwi. Daleko od teatrów, kin, sal koncertowych i sklepów. Mojemu mężowi też by się tam nie podobało. Pisarze potrzebują dużo światła i otwartego horyzontu, by podążać za swoimi wizjami. Gdzie ja miałam głowę, żeby szukać domu w mrocznym lesie? Osiedle, które przykuło moją uwagę, nazywało się Sakura, a niewysokie apartamentowce mia-

ły obite drewnem tarasy i wielkie okna. Dojazd tam zajmuje tylko dwadzieścia minut i jeśli agent się nie spóźni, zostanie mi dużo czasu na inne rzeczy. Będę mogła pojechać do salonu meblowego albo do tego dużego sklepu z oświetleniem, który niedawno otwarto. A może wybiorę meble kuchenne? W centrum jest nowy elegancki salon pokazowy włoskiej firmy. Wyspy kuchenne z blatami z kamienia, drewna albo metalu. Jeszcze się zastanowię, jaki bardziej by pasował do apartamentu opisanego jako penthouse dla ludzi o artystycznej duszy. Dużo światła idealnego do pracy, przeszklony dach jednego z pomieszczeń, nadającego się na studio albo ekstrawagancką sypialnię. Prestiżowa lokalizacja. Podziemny parking, a na terenie klub fitness i basen. Idealna miejscówka. Czegoś takiego szukałam. Zapisałam numer agentki na kawałku papieru i zamknęłam komputer usatysfakcjonowana i podniecona.

Ciemność rozjaśniał teraz tylko tańczący miś z sypialni Karolka, lampka, która towarzyszy mu w nocy od początku życia i bez której mój synek nie umie zasnąć. Plamki światła wirowały po ścianie i wpatrując się w nie, znów poczułam silny zawrót głowy. Ból kręgosłupa i tańczący miś pod czaszką, nie wiem, co było pierwsze, ale aż zrobiło mi się niedobrze i poczułam zapach, który przesładował mnie od paru miesięcy. Zepsute mięso i domestos. Śmierć i chemiczna cytryna. Może za mało jem, ale nie jest łatwo pozostać szczupłą w moim wieku, a figury takiej, jaką miała tamta lala z pociągu, nie nabędzie się od samego dźwigania dziecka. Przypomniła mi się gładka, dobrze zrobiona twarz kobiety, której wiekowi nie dane było zapisać się w zmarszczkach, i poczułam falę wstydu. Metka pani wystaje! Mogła się zamknąć i nic nie mówić, głupia cipa żywiąca się tofu i humusem. Karolek się obudził i wiedziałam, że nie zaśnie ponownie bez kołysanki. Był rozogniony, jego dłonie trzępotały jak dwie rybki wyrzucone na piach. – Mój malutki, malusieńki, posłuchaj: „Kochał ją król, kochał ją paź, królewską tę dziewczynę. Królowna też kochała ich, kochali się we troje. Królowna też kochała ich, kochali się we troje”. – Musiałam tę zwrotkę powtórzyć trzy razy, zanim Karolek zamknął oczy i przestał się wiercić.

Gdy połknęłam Stilnox i zasypiałam na swoje conocne cztery godziny, ciągle ma-

jaczyła mi w głowie nieznajoma z koleżki, wiodąca życie w jednym z wielkich domów Podkowy Leśnej. Czułam jej wypielęgowaną dłoń na swoich obolałych plecach, a potem zadzwonił budzik i wstałam, by zrobić zastrzyk Karolkowi. Dzień zapowiadał się chłodny, ale nie padało, przez ciężkie jesienne chmury przebijało się jaskrawe słońce. Przez cały tydzień myślałam o mieszkaniu, które dziś zobaczę, i co rusz dzwoniłam do agencji, żeby potwierdzić moje zainteresowanie i termin, odległy z powodu mojego zapracowania. Denerwowałam się, że ktoś mi je sprzątnie sprzed nosa.



Sylwia jednak przyszła, choć bałam się, że mnie wystawi. Z radości od razu jej zapłaciłam, dodawszy dziesięć złotych, choć nie wiedziałam, czy znów się spóźni. Biegłam na przystanek jak na skrzydłach, ciesząc się, że nowy środek przeciwbólowy naprawdę działa, i miałam szczęście, bo złapałam wcześniejszy autobus. Na samym początku wyprawy zaoszczędziłam siedem minut, poczułam się młoda, pełna nadziei, coraz bardziej podekscytowana. Jechałam obejrzeć mieszkanie dla mojej rodziny na pięknym osiedlu Sakura. Słoneczny pokój dla Karolka, w którym ustawimy kolorowe dziecięce mebelki; będzie mógł rysować po ścianach i bawić się samochodzikami na dywanie ze wzorem dróg i skrzyżowań. Kiedyś zostanie rajdowcem! Mój mąż dostanie pokój z przeszklonym dachem albo może jednak zrobimy tam sypialnię? Będziemy zasypiać, patrząc na gwiazdy, których nie widać na ulicy Krochmalnej. Gdy wysiadałam z autobusu, poczułam lekki zawrót głowy, ale nie przejęłam się tym. Wszystko przejdzie, gdy w końcu się przeprowadzimy. Żadnej Kajzerki i Adrianka, żadnego mazania wulgaryzmów na drzwiach.

Dziś po drodze udało mi się zrobić zakupy w domu handlowym przy Marszałkowskiej i jak zawsze zajęło mi to mało czasu. Kupiłam sukienkę w stylu boho i zamszową ramoneskę w kolorze mlecznej kawy. W drogerii na parterze spryskałam się perfumami pachnącymi paczuli i wanilią. Na lekką kurtkę było trochę za chłodno, ale całość prezentowała się tak wspaniale, że nie bałam się zmarznąć. Przebrałam się w toalecie kawiarni przy Chmielnej, a stare ubrania upchnęłam w skórzanym plecaku, który miałam od lat studenckich. Byłam zadowolona z rezultatu, pomyślałam, że wyglądam swobodnie, stylowo, jak kobieta, która nie goni za trendami, ale stać ją na wszystko, także na fantazję.

Po dwudziestu pięciu minutach znalazłam się na osiedlu Sakura. Nie było jeszcze drzew i skwerów z pięknymi roślinami, widocznych na symulacji w ofercie osiedla. Nie było również kolorowych rodzin podobnych do mojej, ale właśnie znów wyszło słońce i choć wokół panował bałagan, a na rozmokłych plackach ziemi pożywiały się wielkie czarne ptaki, nie zraziło mnie to.

Zmarzłam, zanim znalazłam bramę 123F, pod którą stała młoda, niepozorna kobieta z plikiem papierów, które zatrzepotały na wietrze, jakby chciały odlecieć razem z czarnymi ptakami. Kolejny lodowaty podmuch uderzył mnie w pierś i zasłoniłam się połami nowej ramoneski, ale zimno przeniknęło mnie do kości. Agentka była ubrana w obcisłe dżinsy i puchową kurtkę, miała na głowie czapkę z pomponem i siąkała nosem w windzie, przeglądając wciąż papiery, a po wejściu do apartamentu, którego drzwi pomyliła dwa razy, głośno wydmuchała nos. Nie tak sobie wyobrażałam pierwsze chwile w wymarzonej mieszkanie i sądziłam, że będzie bardziej wykończona. Wiedziałam tylko o braku białego montażu, nauczyłam się tego fachowego określenia podczas moich poszukiwań. Ale panele z jasnego dębu wyglądały tak realnie na zdjęciach, że uwierzyłam w ich istnienie. Tymczasem na podłogach straszyla szara, chropowata wylewka, nad którą unosiły się kłęby kurzu. Wielkie okna były brudne, pełne smug, zacieków i śladów dłoni. Pokój z przeszklonym dachem okazał się mniejszy, niż się spodziewałam, a na górnych szklanych panelach gnily liście i ptasie gówna. – Mój mąż musi mieć



ładny widok przy pracy – powiedziałam, patrząc rozczarowana na biurowiec po drugiej stronie ulicy, w którego oknach poruszały się małe ludzkie figurki. – A czym mąż się zajmuje? – zainteresowała się w końcu agentka. – Jest pisarzem! – Przyjrzała mi się uważnie, zauważyłam ślady przekłuć na jej twarzy. Mikroskopijne dziurki w górnej wardze i brwi. Biedulka, chciało się dzikiego życia z kolczykiem w ustach, ale los skopał dupę i trzeba sprzedawać mieszkania. Agenci i agentki rzadko byli profesjonalistami i nigdy nikogo nie spotykałam po raz drugi, bo większość traktowała tę pracę jak studenci kelnerowanie. Procesy myślowe uwidoczniły się na wypukłym, jakby wzdętym czole agentki i domyśliłam się, że próbuje skojarzyć pisarza o nazwisku, jakie podałam jej, gdy się umawialiśmy. Nie miałam zamiaru się tłumaczyć, że posługuję się panieńskim, ale nie dawała za wygraną. – A więc pisarz! – ożywiła się. – Biurko można by postawić też tu, pociągnęła mnie do pomieszczenia o równie zasyfionych oknach i betonowej podłodze. – Drzewa! – zademonstrowała widok, w obrębie którego rzeczywiście mieściła się solidna topola. – A co ostatnio małżonek napisał? – Tu widziałabym raczej pokój dziecka – przerwałam jej. – Chłopiec czy dziewczynka? – Chłopiec – ucieszyłam się, że ten pokurcz z dziurami po piercingu zmienił temat. – Dwanaście lat, chce być astronomem – dodałam, by zeszła z tematu twórczości męża. Nikt nie uczy tych ludzi dyskrecji? Nie wiem, czemu tak się na mnie gapiła, ale zaczynała mnie coraz bardziej denerwować. W apartamencie panował kamienny chłód i w swojej cienkiej sukience marzłam, czując coraz silniejszą potrzebę oddania moczu, ale łazienka była betonową jaskinią z wystającymi ze ścian rurkami i kabłami jak wyrwane ścięgna.

– Nie jestem przekonana – wyznałam agentce. Niech się pożegna z prowizją, skoro tak marnie odgrywa swoją rolę. – Dlaczego? – zapytała zbyt głośno, ze sztucznym zdumieniem. – Rozważam jeszcze jedno podobne miejsce i to, co pani mi tu pokazała, raczej mu nie dorównuje – pogardliwie machnęłam ręką, w zasięgu której znalazł się salon i niedoszły gabinet mojego męża pisarza. – Szuka pani tylko mieszkania czy może też domu? – wykazała się nagle inicjatywą, jaką rzadko spotykałam, a poszukując

odpowiedniego lokum już od ponad dwóch lat. – Tak, dom też by mnie interesował. Co najmniej dwieście pięćdziesiąt metrów powierzchni, garaż na dwa auta. – A pod Warszawą? – Tak, ale z dobrym dojazdem – przyznałam. – Lepiej jednak, by znajdował się w granicach miasta. Na Żoliborzu, Starej Ochocie, ewentualnie w Wilanowie. Tylko proszę pamiętać, że cenię swój czas! – Zadzwoń telefon agentki i straciła mną zainteresowanie. Rzuciła tylko, że się zdzwonimy, i zostałam sama pod bramą osiedla Sakura. Kolejna kłapa, doprawdy, rynek nieruchomości w tym kraju nie ma wiele do zaoferowania. Kolejny podmuch wiatru uniósł brzeg mojej sukienki. Chyba pospieszyłam się z zakupem, bo zauważyłam, że jej brzeg wykończony był niechlujnie, a lekki materiał elektryzował jak najtańszy chiński poliester. Spojrzałam na zegarek. Miałam jeszcze godzinę i czterdzieści dziewięć minut.

Dojechałam tramwajem do domów centrum i przy wychodzeniu z wagonu znów poczułam się dziwnie, jakby zamazana. Musiałam na chwilę usiąść na przystanku, a wtedy od razu dopadł mnie zapach zepsutego mięsa i cytrynowego domestosa. Kiedy wstałam, świat zawirował. Bolał mnie kręgosłup, a głowa wydawała się ciężka. Miałam przy sobie tabletki, ale nic do picia. Zamrugałam powiekami, ale rotunda PKO nadal unosiła się w powietrzu, kręcąc się wokół własnej osi jak statek kosmiczny, z którego zaraz wyjdą obcy. Wzięłam głęboki oddech, jeden i drugi, ale nie pomogło, mimo iż koleżanka ze studiów, która została instruktorką jogi, zapewniała mnie, że wszystkie bóle można zniwelować prawidłowym oddechem. Spotkałam ją przypadkiem, gdy w zeszłym roku oglądałam dom na sprzedaż w Magdalence, ona okazała się właścicielką i nawet umawialiśmy się na kawę, ale jakoś nie wyszło. Ja miałam pracę na dwóch uczelniach i pisanie doktoratu, ona swoją sieć studiów jogi, a dom okazał się za mały dla mojej rodziny.

Powoli powlekłam się do przejścia podziemnego, gdzie kupiłam sobie pączka i szybko zjadłam, uważając, by nie pobrudzić ubrań. To wszystko na pewno z głodu. Pączek był niesmaczny, brunatna masa nadzienia wypłynęła z niego na moją dłoń i wytarłam ją z obrzydzeniem. Mało jadłam i znów wyszłam bez śniadania, nie licząc

łyka owoców zmiksowanych dla Karolka, ale chciałam odzyskać swoje bikini body przed latem. Gdyby agentka od tego żałostnego penthouse'u zapytała, powiedziałabym jej, że w tym roku planujemy cały sierpień w Toskanii. Wynajmiemy na wzgórzu koło San Gimignano dom z basenem, gdzie mój mąż skończy powieść, a my z Karolkiem będziemy całymi dniami pływać, opalać się albo jeździć na wycieczki po okolicy i próbować lokalnych dań.

Gdy przebierałam się w toalecie w ciuchy, w których wyszłam rano, ból dopadł mnie znowu. Silny, promieniujący do czaszki. Albo to z głowy spływał w dół, nie wiem. Połknęłam tabletkę i popiłam wodą, miała ohydny posmak, jaki od wielu tygodni przebijał spod wszystkiego, co wkładałam do ust. W łazienkowym lustrze patrzyła na mnie twarz kościotrupa z ciemnymi oczodołami i spierzchniętymi wargami, z których zeszła nałożona rano szminka. Powinnam zrobić włosy, bo widać było odrosty. – Wyglądasz jak ciotka kościotrupka – mówił mój mąż, najpierw żartobliwie, potem już nie. Nie wiem, czy on jeszcze coś napisze, nawet w słonecznej Toskanii.

Dopiero przy kasie zorientowałam się, że nie mam paragonu w portfelu i zaczęłam gorączkowo przeszukiwać wszystkie przegródki. Ekspedientka patrzyła na mnie oczami, które przez obramowanie sztucznych rzęs prześwitywały jak mętne kałuże. – Bez paragonu nie przyjmę – wzruszyła ramionami, a klientka za mną warknęła, żebym nie blokowała kolejki. Obie były młode w ten dziwny, nieświeży sposób, jaki zdarza się dziś dziewczynom. Jakby całe życie spędziły w pokoju, gapiąc się w ekran i jedząc chipsy. Przeszukałam portfel i torbę, ale nigdzie nie było paragonu, a chciałam się pozbyć i zbyt długiej sukienki, i za luźnej ramoneski. Rozmiarówki teraz są zawsze zawyżone, żeby grube kobiety lepiej się czuły, bo podobno nie można być zbyt chudą i zbyt bogatą. Obok mnie zatrzymały się dwie kobiety i wysokimi głosami omawiały jakiś wyjazd służbowy do Pekinu. – Chiny to teraz pole wielkiego biznesu – powiedziała jedna z nich, roześmiały się, a ja w końcu znalazłam paragon i ogarnęła mnie ulga. Wsadziłam go do kieszeni spodni, zanim przebrałam się w nową sukienkę i zapomniałam o tym. Gdy wychodziłam ze sklepu, kątem oka zobaczyłam ciemnozielony

kombinezon. Pasowały do niego klasyczny treniczek i shoperka w camelowym kolorze, do tego eleganckie mokasyny. Jeszcze okulary słoneczne, duże, ale bez ozdób i złocień. Mogłabym obejrzeć w takim stroju to eleganckie mieszkanie w odnowionej kamienicy przy Hożej, zamiast tracić czas na beznadziejne nowe osiedle.

Na ruchomych schodach znów zakręciło mi się w głowie, ale tym razem na krótko i po opuszczeniu sklepu byłam gotowa do dalszego działania. Nie zamierzałam kupować nuworyszowskiego apartamentu na osiedlu Sakura, ale postanowiłam obejrzeć salon z wyposażeniem kuchni z myślą o mieszkaniu w kamienicy, eleganckim i nieco staroświeckim, w którym przede mną żyło kilka pokoleń ludzi mających w zwyczaju pić popołudniową herbatę przy dźwiękach dobrej muzyki.

W salonie przy Świętokrzyskiej oprócz mnie przyglądała się pokazowej kuchni jeszcze jedna klientka, do której po chwili dołączył partner. Był przystojny w sposób budzący zaufanie. Łysiał, więc golił się na zero, miał lekką nadwagę i lśniący zadbaną bielą uśmiech. Sprzedawca skakał koło nich jak cyrkowa małpka. – Szukałem miejsca – oświadczył mężczyzna, wnosząc do klimatyzowanego wnętrza powiew ulicy, i objął kobietę. Uśmiechnął się, gdy powiedziałam, że tu nigdy nie można zaparkować, a jego towarzyszkę otaksowała mnie z góry na dół. Szkoda, że nie miałam już na sobie kwiecistej sukienki boho i ramoneski. Albo tego kombinezonu, który zwrócił moją uwagę. – Ja tylko wyskoczyłam na chwilę z domu – wytłumaczyłam się i cała trójka spojrzała na mnie w taki sposób, że zrobiłam się niepewna. Może dlatego, że znów poczułam zawrót głowy i ten zapach, gnijące mięso i cytrynowy domestos. – Proszę chwilę poczekać – sprzedawca wskazał mi kanapę dla klientów, a w jego głosie było coś jeszcze oprócz uprzejmości. Niechęć, zniecierpliwienie, czy to możliwe? Powinni dbać o każdego klienta, którego stać na tak ekskluzywnie wyposażenie kuchni. Usiadłam i przejrzałam katalog,

zdecydowałam, że poproszę o kosztorys szafek z drewnianymi blatami w kolorze wenge, szuflady i szafki bezuchwytowe. Blaty z różowego marmuru. Kran z czujnikiem i okap obity miedzianą blachą, obsługiwany pilotem.

Pozostało mi tylko czterdzieści minut, a chciałam jeszcze zajrzeć do sklepu spożywczego i małej drogerii pod domem. Sprzedawca, który miał w swoim lokalu nie tylko chemię, ale też kolekturę totolotka i dziwne artykuły spożywcze w rodzaju wiecznotrwałych kolorowych galaretek i pudrowych pastylek, obiecał dostawę farb do włosów. Londa jest najlepsza, czasem też dobre jest to, co tanie. Zarozumiała para klientów marudziła, dopytując się, czy salon ma w ofercie także polski granit. Z Chin nie chcieli, zależało im na granicie ze Strzegomia, bo cenią lokalność i ekologię, i sprzedawca wykonał trzy telefony w tej sprawie, a ja pomyślałam, że polski granit to wspaniała sprawa. Ekologicznie i w ogóle, więc muszę zapamiętać. Polski granit do eleganckich białych frontów, tego pragnęła do swojej kuchni para, która zajęła sprzedawcy już ponad dwadzieścia minut. Nie mogłam dłużej czekać, ale umówiłam się na wizytę na drugi dzień, choć nie miałam zamiaru się tu więcej pokazywać. To niejedyny salon tego rodzaju w stolicy. Na szczęście. Dwadzieścia minut czekania, całkowity brak szacunku dla klienta.

—
ZIMA PRZYSZŁA i najpierw wszyscy się cieszyli, że taka prawdziwa, śnieżna, z samochodami, które przez noc zmieniały się w białe niedźwiedzie, a przynajmniej mnie tak się wydawało, gdy wyjrzałam przez okno o świcie. Pod naszym domem spały rządy białych misiów, ale Karolek się nie uspokoił, gdy mu o nich powiedziałam. Ostatnio budził się co godzinę, a w dzień prawie nie spał. W końcu przeniósłam się do jego pokoju i rozłożyłam materac na podłodze. Każdą zwrotkę kołysanki powtarzałam w nieskończoność. Śpiewałam: „Tragiczny los, okrutna śmierć w udziale im przypadła. Króla zjadł kot, pазia zjadł pies, królownę myszka zjadła. Króla zjadł kot, pазia zjadł pies, królownę myszka zjadła”, ale mój synek nie chciał zamknąć oczu, jakby bał się stracić mnie z pola widzenia.

Wszystko przez to mieszkanie, tu nie da się normalnie żyć. Gdy tylko udało mi się wy-

gospodarować kilka chwil za dnia, bachory z dziesiątego zaczynały grać i skakać. Nadal nie znalazłam dla nas odpowiedniego miejsca, mimo iż co tydzień w środę ruszałam na poszukiwania, utrudnione przez zimową aurę, która szybko stała się dla ludzi utrapieniem. Wypchane autobusy wleky się, pociągi podmiejskie pełne były dodatkowych parujących pasażerów, którym nie odpaliły samochody. Agenci spóźniali się albo okazywało się, że nieruchomości została sprzedana, ale nikt mnie nie poinformował. Za każdym razem spotykał mnie zawód, choć zjeżdżałam już miasto i okolice wzdłuż i wszerz, łącznie z nowymi podmiejskimi osiedlami, które wyrastały pośród pól nawłoci i perzu. Marzłam i przeziębiałam się, a w telewizji nadal zapowiadano zimno, nadchodziła „bestia ze Wschodu”, niosąc na grzbiecie mróz nawet do trzydziestu stopni. Na naszym osiedlu przyniósł w gratisie awarię wodociągu i pośrodku uliczki wykwitła zamrożona na kość fontanna wody, obsikiwana przez psy. Mimo wszystko teraz naprawdę wydawało mi się, że w końcu trafiłam.

Dom w dzielnicy Wilanów w tradycyjnym stylu dworcowym, który w sumie bardziej pasuje do mojej rodziny niż te zimne nowoczesne budowle z oknami jak lodowiska i wiatrem hulającym po przepastnych kuchniach. Przytulna siedziba rodzinna, oto, czego potrzebujemy. Szkoda, że i tym razem mój mąż nie będzie mógł przyjechać, ale akurat przebywa w Chinach. Tam teraz jest pole dla wielkiego biznesu. Na szczęście ma do mnie pełne zaufanie i liczy się z moim zdaniem. – Na szczęście – powtórzyłam i wytarłam twarz Karolkowi. Zrobiły mu się zajady, skóra popękała głęboko w kąciach ust, a oczy ropiały. Dotknęłam jego czoła, było znów rozpalone. Mój synek zajęczał i poczerwieniał, poczułam, że kolejny raz muszę zmienić mu pampersa. Ostatnio gorzej się czuł, nie smakowały mu koktajle, które miksowałam w nowym blenderze. Odkładałam na niego pół roku, ale pewnie też padnie po paru miesiącach codziennego użytkowania. Dlatego dom chciałam mieć solidny, nasączony historią, co najmniej pięćdziesięcioletni, a nie śmierdzący jeszcze świeżym tynkiem i cementem. Taki, w którym upieczono wiele ciast, witano i żegnano członków rodziny, a małżeństwa i sprzęty AGD były trwałe i godne zaufania. Największy problem sprawiła mi Sylwia, któ-

ra ostatecznie zrezygnowała z pracy u mnie, choć chciałam od niej tylko tych trzech i pół godziny raz w tygodniu. – Mam kogoś na stałe – wzruszyła ramionami. – Z zamieszka- niem. I bez pieluch – wzdrygnęła się, jakby moje dziecko ją brzydziło. Mój piękny synek! Skończyło się awanturą i nie było już powrotu.

Uprosiłam na jej miejsce panią Elę z dru- giego. Emerytka, ale ma jeszcze krzepę, bo przez pięć lat opiekowała się swoim mę- żem całkowicie sparaliżowanym po udarze. Wszystko robiła sama. Czasem rozmawiały- śmy pod blokiem, gdzie wychodziła zapalić. Mówiła, że to jej małe wakacje sześć razy dziennie i rechotała, że kto inny może sobie pozwolić na taki luksus z widokiem na za- gon psiego gówna. Przegoniła babę z opieki, która, jej zdaniem, zaglądała tylko po to, by napić się kawy za darmo i powęszyc. Pani Ela przez te wszystkie lata nie wychodziła dalej niż do osiedlowego sklepu. Przewinęła Karolka przy mnie i silnym ruchem odwró- ciła jego bezwładne ciało na bok. – Niech se dupsko przewietrzy – zaśmiała się chra- pliwie, a ja odpowiedziałam wymuszonym uśmiechem. Nikogo innego nie było, tylko pani Ela, i nie chciała dużo, ale zgodziła się przychodzić po południu, bo w dzień po- magała dzieciom za darmo. Umówiłam się na Wilanowie na dziewiętnastą trzydzieści i żałowałam, że po raz pierwszy zobaczę mój przysły dom po ciemku.

Tym razem zamówiłam ubranie w skle- pie internetowym. Chciałam wyglądać jak ktoś, kto się nie stara, bo nie musi, po pro- stu zarzucając na siebie kilka rzeczy naj- lepszej jakości, zawsze wygląda dobrze, jak chuda suka, którą jesienią spotkałam w pod- miejskiej kolejce. Czarna kurtka, lekka jak piórko, ale ciepła, dobre ciemnogrnatowe dżinsy, które okazały się trochę za szerokie w pasie i za długie, ale za to nie było spod nich widać moich starych butów. Podciąłam sobie sama włosy jak zawsze i zrobiłam za- czesaną na bok grzywkę. Czarna czapka smerfetka i plecak. Skromnie, ale stylowo. Jak godna zaufania kobieta, która mieszka w dworku nazwanym jej imieniem i nie spędza godzin przed lustrem, bo zna swoją wartość. Dworek Marysin, Basinek, Karolin. Coś solidnego, tradycyjnego. Nasz nazwiemy Ewunin. Mój mąż na to wpadnie, to oczywi- ste, bo dom powinien nosić imię jego pani.

Pod starą wierzbą, która swoim majestatem zwracała uwagę na zdjęciach, postawię let- ni stół, Karolek będzie przy nim sklejał mo- dele samolotów. Jego tata to uwielbiał, gdy sam był mały, został po nim jeden samo- lot, który nadal wisi nad łóżkiem Karolka. Model z drugiej wojny światowej, z lukiem do spuszczenia bomb.

Dopiero w autobusie poczułam się go- rzej. Znajomy odór gnijącego mięsa i cytry- nowego domestosa zmieszany w chmurę rozpychającą się w mojej czaszce. Spróbo- wałam uchylić okno, ale nie miałam siły. – Zimno! – warknęła na mnie jakaś baba. Przypominała trochę moją byłą teściową, ale była dwa razy grubsza i złachana. Jak z memów „moja teściowa po roku w Rosji”. Zachciało mi się śmiać i zdusiłam chichot, przykładając do twarzy chusteczkę. Przez nią też czułam ten przerażający zapach śmierci zamaskowanej chemiczną cytryną.

Wysiadłam z autobusu na pętli w Wilano- wie i odetchnęłam pełną piersią. Powietrze było mroźne i rześkie, chwilę posiedziałam na ławce na przystanku i przestałam czuć prześladowający mnie zapach, a zawroty głó- wy ustały. Poczułam się podekscytowana, pełna nadziei. Bezpośrednie sąsiedztwo pa- łacu i parku, dobry dojazd do centrum, tego mi było trzeba. Z tej perspektywy wszystkie obejrzone wcześniej domy i apartamenty wydały się mi się doprawdy kompletną po- myłką. O czym ja myślałam? Tutaj jest na-

sze miejsce, na skraju miasta, blisko do lasu i rzeki, w starej, prestiżowej dzielnicy willo- wej. Karolek pójdzie do niemieckiej szkoły, na pewno nie będzie miał problemu z akli- matyzacją, bo są tam same kulturalne dzieci, a nie takie debile jak tłusta Kamelka i Ad- rianek z dziesiątego. W szkole jest basen, korty, siłownia. Będę po synka przyjeżdżać eleganckim minicooperem, a potem poje- dziemy na pizzę, podobno w okolicy jest kil- ka dobrych włoskich knajp, a Karolek uwiel- bia pizzę z salami. Potem zajęcia dodatkowe i domowa kolacja.

Bez problemu znalazłam właściwą ulicz- kę i dom. Stały koło niego dwa auta, brama była otwarta, a w oknie salonu paliło się świa- tło. Sprawdziłam godzinę, nie spóźniłam się, ale najwidoczniej agent postanowił poczekać w środku. Do drzwi prowadziła świeżo za- mierzona ścieżka z kamiennych płyt jak w ja- pońskim filmie. Gdzieś tam leżały na niej oszronione liście. Ogród był wielki i zadba- ny, stary. Szczególnie spodobała mi się ławka pod wiekową wierzbą płaczącą, bo niżej teren opadał ku jezioru. Wszystko pokrywał teraz śnieg, czysty, lśniący w świetle ogrodowych lamp. Zatrzymałam się na chwilę i pomyśla- łam, że to będą piękne wieczory. Albo po- ranki! Mój mąż wracałby z nocnego dyżuru, a ja czekałabym z kawą i lekkim, eleganckim śniadaniem. Dobrze, że będzie miał blisko do pracy, do szpitala było stąd pięć minut drogi. Już prawie słyszałam, jak się śmieje-



my, zasłaniając usta, by nie obudzić Karolka. Powinien się wyspać przed porannym treningiem. Nad ogrodem przeleciał spłoszony ptak, a moją zadumę przerwało powitanie.

Co za niespodzianka! Nie poznałam go w pierwszej chwili, choć pamiętałam ten cienki głos. Należał do agenta, który jesienią pokazywał mi dom w Podkowie Leśnej. Kogo my tu mamy! Zza jego pleców wyłoniła się zasmarkana agentka od penthouse'u na osiedlu Sakura. – Nasza najlepsza klientka – ten głos należał do drugiej kobiety, małej i podobnej do matryoski, którą też już gdzieś widziałam. Z pół roku temu pokazywała mi trzy różne apartamenty na Kabatach. Beznadziejne. – Taka pani wybredna – wycedziła. – A mąż muzyk jeszcze bardziej. – Przecież pisarz – sprostowała ta od Sakury ze złośliwą intonacją. – Ależ skąd! Lekarz. Teraz jest lekarzem i nasza droga klientka potrzebuje willi dla całej doktorskiej rodziny. – Szturchali się ramionami jak zdurniałe dzieciaki. To oczywiste, że mnie z kimś pomylili. Muszę im to wytłumaczyć, ale nie dopuszczali mnie do głosu, nakręcając się coraz bardziej. – Ta willa chyba paniusi nie popasi, prychnęła matryoska. Za mała! Za mało luksusowa! Jacuzzi jakies odrapane. Nie ma odpowiedniego pokoju dla synka. I mąż muzyk nie będzie miał gdzie rzępolić. Pisarz! Pisarz tu nie popisz! To może chociaż pan doktor będzie zadowolony? – zasmarkana siąpnęła nosem szyderczo.

Uciekłam po kamiennej ścieżce, na której wciąż leżały oszronione liście, ale teraz wydawały mi się obmierzłe jak strzępki gnijącego mięsa. Niczym w transie dotarłam do jakiegoś przystanku i w ostatniej chwili wskoczyłam do autobusu, ale dopiero gdy skręcił nie w tę stronę, co trzeba, zorientowałam się, że pomyliłam numery. Ten oddalał się od Warszawy, a zostało mi jeszcze tylko półtorej godziny. Zaplanowałam wizytę w sklepie z porcelaną, do nowego domu pasowałyby tradycyjny serwis, biały ze złotą obwódką, ale teraz nie zdążę. Na tablicy wyświetliła się nazwa ulicy, której nie znałam, za oknem między zabudowaniami nowych osiedli mignęły pola i dalekie smugi lasu. Odór śmierci pojawił się jak chluśnięcie w twarz i zachwiałam się, wpadając na jakiegoś starca, który zamierzał wysiąść. Miał twarz zmiętą i poplamioną jak papier po kebabie. – Pani uważa – warknęła, a ja opadłam

na zwolnione przez niego miejsce. Pociłam się i jednocześnie trzęsłam z zimna, czułam, jak wilgoć spływa mi po plecach, lepi pachy i uda. Nie zdążę już do salonu z porcelaną. Widziałam w internecie, że można zamówić monogramy i wysłałam zapytanie, jak długo to trwa i czy mogą być pewna jakości. Odpowiedzieli, że można nawet myć w zmywarce. Oczywiście kupię najnowszy model, cichą, skuteczną zmywarkę i po przyjęciach będę układać w niej równiutko białe talerze i salaterki z monogramem. W dużym kubku co niedzielę zrobię Karolkowi czekoladę z bitą śmietaną, i będę się śmiała, że pije tak szybko, że parzy sobie język. Wytrę mu smugi słodczy spod nosa, a on powie „No weź, mama”.



– Dalej nie jedziemy! – Nie zrozumiałam. Pomyślałam, że słowa pochylonego nade mną mężczyzny odnoszą się do mojego marzenia, do Karolka, mówiącego „No weź, mama”, choć od dwudziestu pięciu lat nie usłyszałam żadnych słów z jego ust. – Końcowy przystanek – wyjaśnił mężczyzna. – Pętla. Jesteśmy w Powsinie. – Za oknem autobusu zobaczyłam las, chyba nikt tu nie wysiadł. – Jedzie pani z powrotem? Ruszam za dwadzieścia minut. – Nie, wysiadam. – Zachwiałam się i kierowca złapał mnie za ramię. – Leci pani krew z nosa – cofnął się ze wstrętem. – Jest pani pijana? – Chciałam powiedzieć, że sobie wypraszam, ale nie mogłam wydobyć głosu i zataczając się, wysiadłam w nieznanie. Czytałam, że niedaleko domu, który okazał się taką pomyłką, jest leśny teren z kawiarnią i restauracją, nawet z basenem. Karolek mógłby tu przyjeżdżać na rowerze z kolegami. Który szyb-

kiej, ścieżką rowerową prowadzącą wzdłuż drogi. Musiałby mnie zapewnić, że będą się jej trzymać, że nie da się namówić kolegom na jazdę szosą. Robiłabym mu kanapki ze zdrowego pieczywa, ale i tak kupowałby do nich frytki. Mogłam zapytać kierowcę, czy można tu kupić frytki, ale zamknął już drzwi. Na pętli pod lasem stał tylko autobus.

Wokół było zupełnie pusto i bardzo zimno, śnieg zazgrzytał mi pod stopami, gdy ruszyłam leśną ścieżką. Była wąska, zasypała świeżym puchem, w którym brnęłam z trudem, walcząc z zawrotami głowy. Odór zepsutego mięsa i cytrynowego domestosa zatykał mi usta bardziej niż siarczasty mróz, ale zaczął słabnąć, w miarę jak posuwałam się w głąb lasu. Nie widziałam żadnych świateł, wokół panowała ciemność, w której wirowały płatki śniegu. Zahaczyłam głową o gałąź i upadłam, boleśnie waląc czołem w wystający spod śniegu kamień, którego twardość poczułam przez chwilę pod palcami, i pomyślałam, że chciałabym tak trwać, zimna i obojętna. Dotarłam do zamkniętego na głucho miejsca, które pewnie było barem. Piwo, frytki, lody, rodziny z rozbrykanymi dziećmi, wśród nich my z Karolkiem. Obraz pojawił się i znikł, a ja znów byłam sama na zaśnieżonej ścieżce. Po prostu szłam przed siebie, ani nie bojąc się tej pustki, ani niczego od niej nie pragnąc, aż dotarłam do łąki, która otwarła się przede mną nagle jak morze.

Niebo nad lasem rozjarzała łuna jak na Wszystkich Świętych nad dużym cmentarzem, pewnie tam było miasto, ale nie chciałam do niego wracać. Ruszyłam przez nieskażoną biel i było mi coraz cieplej, coraz lepiej. Rozpięłam kurtkę, a potem zdjęłam ją i wypadła mi z rąk, ale się tym nie przejęłam. Uniosłam twarz. Śnieg wciąż padał, niebo nade mną było twarde i lśniące jak z czarnego szkła. Położyłam się i objęłam ramionami, choć trzymałam w nich tylko pustkę. Zaśpiewałam dla siebie samej ostatnią zwrotkę kołysanki: „Lecz żeby ci nie było żal, dziecino ma kochana, z cukru był król, z piernika paż, królowna z marcepana. Z cukru był król, z piernika paż, królowna z marcepana”. Patrzyłam w górę z zachwytem, czując, jak robi mi się jeszcze cieplej, spokojna, że w każdym z mieszkań i domów, jakie oglądałam przez ostatnie lata, wciąż toczy się moje życie.

Poezja w „Piśmie”
powstaje przy wsparciu
Fundacji Jana Michalskiego



POEZJA

Gdy to się skończy

KRYSTYNA DĄBROWSKA

—

Gdy to się skończy, odwiedzę
bibliotekę materiałów
w londyńskim Institute of Making;
gdy znowu będzie wolno, dotknę
tych wszystkich zebranych tam rzeczy:
skamieniałej kupy żółwia, niemożliwie lekkiej
bryłki aerożelu, który wysłany w kosmos
łapie pył z warkocza komety –
A przecież mam w sobie
taką bibliotekę.
Jest w niej skórzana chorągiewka,
którą na studiach wachlowało się kamienie
litograficzne, żeby je osuszyć;
i jest w niej zgrzebło do czesania kota,
rozmruczanego, kiedy mu szczotkuję
włosy pokrywowe i podszerstek; i ciepły chuch
z nozdrzy owcy skubiącej mi z ręki
trawę łaskotliwymi wargami;
i paląca lodowatość Bałtyku
latem w Szwecji, gdy dosięga brzucha.
Odkąd nasze ciała są jak włączniki światła
na przejściach dla pieszych,
przekreślone iksami czarnej taśmy,
odkąd niebezpiecznie jest wyławiać palcem
pyłek z własnego oka,
czuję, jak nieuchwytnie się kurczę,
a biblioteka we mnie rośnie.
Gdy to się skończy, może zostanę
całkiem już przez nią wessana
i będę żółwiem, kometą,
kocim włosem.

KRYSTYNA
DĄBROWSKA

(ur. 1979), poetka, tłumaczka, eseistka. Autorka czterech książek poetyckich, ostatnio wydała *Ścieżki dźwiękowe* (2018). Laureatka Nagrody Kościelskich (2013), Nagrody im. Wisławy Szymborskiej (2013) i Nagrody Literackiej m. st. Warszawy (2019).

Z PISMEM U...

Edukatorki Aleksandry Józefowskiej

tekst KAROLINA SULEJ



KILKA LAT TEMU pytania nastolatków wydawały się przewidywalne: „Czy to normalne, że codziennie mam ochotę na seks?” albo „Co to jest *fellatio*?”. Dzisiaj często niepokoją. Młodzież chce wiedzieć więcej o technikach seksualnych, porównuje się z aktorami porno i czuje lęk przed sprostaniem zadaniu, jakby seks był rodzajem egzaminu.

Dzwonek telefonu. „Halo? Dzień dobry. Dzwonię, bo chciałam się dowiedzieć, w jaki sposób... Ojej... No... Jak mam powiedzieć «nie», kiedy nie chcę seksu? Nie chcę kogoś rozczarować”.

I kolejny. „Mam chyba jakiś problem, bo oglądałam porno... pornograficzne filmy. Strasznie mnie to wciąga. Masturbuję się przy tym, czy to grzech?”

I kolejny. „Halo, halo? Nie wiem, co mam robić: od ryzykownej sytuacji pół roku temu nie uprawiałam seksu z moim chłopakiem, bo panicznie boję się ciąży, przez to mój związek zupełnie się sypie. Nie chcę, żeby tak było, ale nie umiem sobie poradzić z tym strachem”.

I kolejny. „Chciałabym się dowiedzieć, czy to normalne, że mam jedną pierś większą od drugiej? Czy to może być rak? Czy to się koryguje operacyjnie?”

Na takie i podobne pytania od ponad osiemnastu lat odpowiada Aleksandra Józefowska, jedna z założycielek Grupy Ponton. Organizacja zajmuje się edukacją seksualną młodzieży na zajęciach i warsztatach, w ramach rozmaitych projektów i akcji społecznych. Niemal od samego powstania grupy w 2002 roku, w każdy piątek od godziny 16:00 do 20:00, pod numerem 22 635 93 92 działa telefon zaufania. Początek rozmowy często brzmi tak: „Telefon zaufania Grupy Ponton. Opowiedz mi, proszę, wszystko na spokojnie. Postaram się pomóc. Dobrze, że dzwonisz”.

Od dwóch lat Aleksandra pracuje jako psychoterapeutka, ale z Pontonem, którego przez prawie dwie dekady była liderką, wciąż nie może się rozstać. Udziela się w grupie jako wolontariuszka. – Od początku naszego istnienia zawraca się nas z drogi, blokuje, ośmiesza. Czasem mam wrażenie, jakbym brodziła w beton. Ale za każdym razem, gdy uda mi się kogoś uspokoić, przekazać potrzebne informacje, rozwiązać wątpliwości, poczucie sensu wraca i wierzę, że pokonamy przeszkody, jakie stawia przed nami państwo czy Kościół. Dlatego tak trudno przestać – tłumaczy.

Ponton został założony jako nieformalna grupa przy Federacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny (zwanej w skrócie „Federą”), która od 1991 roku zajmuje się prawami reprodukcyjnymi w Polsce. Działania Pontonu są odrębne, ale finansowanie pochodzi również z grantów organizacji matki. To od początku dawało Aleksan-

drze poczucie bezpieczeństwa i zakotwiczenia – była zatrudniona, miała stałą pensję i wiedziała, że cokolwiek by się nie działo, na warszawskim Muranowie jest dla nich lokal, telefon, papier i komputery. Jak mówi, dzięki temu mogła się bezpiecznie bujać nawet na sztormowych falach.

Pontonowe metafory będą wracać w naszej rozmowie. Aleksandra, nazywana w zespole Olencją, jest autorką nazwy grupy. – Ponton to ratunek, szalupa, którą wyrzuca się w morze w sytuacji zagrożenia, ale już sama jego obecność podnosi na duchu. Rymuje się z kondom, też jest gumowy, kojarzy się więc z prezerwatywą, a my uczymy między innymi o antykoncepcji – śmieje się.

W 2002 roku Aleksandra kończyła pedagogikę oraz *gender studies* na Uniwersytecie Warszawskim. Wykładała tam wtedy uznane akademickie feministki: Eleonora Zielińska, Kazimiera Szczuka, Agata Araszkiwicz. Maria Janion wciąż prowadziła seminaria. Ola nauczyła się, że seksualność to nie tylko kwestia biologii, ale też umów społecznych i ról kulturowych. Naładowana wiedzą, nie mogła się doczekać, by ponieść ją dalej. Szczególnie zainteresowało ją kulturowe postrzeganie żeńskiej seksualności. – W patriarchacie ciało kobiety jest źródłem wstydu, a jej pożądanie obciążone winą – tłumaczy mi Aleksandra. Chciała głośno mówić, że tak nie musi być. Krzyczała o tym na manifach, rozprawiła w salach uniwersyteckich. Brakowało jej jednak realnej interwencji w system.

Pewnego dnia na tablicy na kampusie zobaczyła ogłoszenie Federy: „Szukamy chętnych studentów! Interesuje cię praca edukatora/ki? Pomóż nam uczyć młodzieży o seksie”. Tworzyła się Grupa Młodzieżowych Doradców, z początku jako młodzieżówka organizacji matki.

Aleksandra zapisała się na wolontariat. Robiła prasówkę, porządkowała dokumenty. Wciąż jednak czegoś jej brakowało. Wszystko się zmieniło, gdy została wysłana w delegację na statek Langenort, który w czerwcu 2003 roku przypłynął do Władysławowa. Należał do feministycznej organizacji Women on Waves (Kobiety na falach), był pływającą poradnią i gabinetem aborcyjnym. Zawijał do krajów, w których przerywanie ciąży nie jest prawnie dozwolone, a faktyczny dostęp do aborcji – utrudniony. Zobaczyła wtedy na własne oczy, w jak rozpaczliwej sytuacji są kobiety, szczególnie młode, które zaszły w niechcianą ciążę. To już nie były akademickie rozważania o opresji, tylko konkretna krzywda. Czują, że musi pomóc.

Odruch siostrzeństwa kształtował się w niej od wczesnej młodości. W Technikum Księgarskim przy ulicy Żeromskiego zbudowały w klasie silną grupę przyjaciółek – wspierały się nawzajem, chodziły razem na demonstracje w obronie praw kobiet, czytały Simone de

ALEKSANDRA
JÓZEFOWSKA
(ur. 1979),
psychoterapeutka
związana
z ośrodkiem Bliskie
Miejsce, pedagogożka,
trenerka i edukatorka
seksualna,
współtwórczyni
i wieloletnia
koordynatorka
Grupy Edukatorów
Seksualnych Ponton.

Beauvoir, słuchały Bikini Kill. Były polskimi riot grrrls – wzorowały się na swoich amerykańskich równolatkach, którym zależało na dowartościowaniu dziewczynskości, przez którą rozumiały pielęgnowanie koleżeństwa, wzajemną pomoc i wspieranie prawa do decydowania o własnym ciele oraz zarządzania seksualnością i wyglądem.

– Zrozumiałam, że umiejętność solidaryzowania się z kobietami, z dyskryminowanymi, to mój zasób, dar, że chcę się nim dzielić. – Aleksandra śmieje się, że bardziej świadoma refleksja nasunęła się jej jednak dopiero po latach, kiedy jej psychoterapeutka zapytała: „Pani Aleksandro, a właściwie dlaczego pani się zajęła tymi dziewczętami?”.

Wtedy jeszcze działała intuicyjnie.

– Dwadzieścia parę lat temu naprawdę trudno było być dziewczyną. Nie było Netflixa, książek o buntowniczkach, #metoo. Wmawiano nam, że przemocowe zachowania chłopców to „końskie zaloty”, seks był tabuizowany, przekazy medialne zaś były różowe i o miłości. Brakowało miejsca na mówienie o niechcianych pierwszych razach i ciążyach.

Podkreśla, że odkąd zaczęła się interesować tematem edukacji seksualnej, wciąż widzi, że dla wielu nastolatek jedyną informacją, jaką dostają na temat seksualności od rodziców czy opiekunów, są pouczenia, że uprawianie seksu może zrujnować życie, uniemożliwić skończenie szkoły, znalezienie pracy. Z drugiej strony nastolatki czują presję rówieśniczą i medialną, żeby go uprawiać. *Sex sells* (Seks sprzedaje). Seks to rozrywka. Seks to sukces towarzyski. Dziewczyny są więc zdezorientowane, gubią się, nie słyszą własnego głosu.

Aleksandra czuła, że dzięki dziewczynskiemu wsparciu, jakie nauczyła się dawać i odbierać w swojej szkolnej paczce, może ideę „koleżankowania się” przekazać dalej. Widzi, czego młodym kobietom brakuje: – Nie mają pewności siebie i umiejętności asertywnej komunikacji. To moim zdaniem największy problem dzisiejszych nastolatek. Nawet komunikacji z sobą samą. Czego chcą, czego nie chcą. Podczas rozmów z nastolatkami okazuje się, że często nie są gotowe na kontakty seksualne, ale nie potrafią odmówić.

Grupa Młodzieżowych Doradców rozwijała działalność, chcąc nią objąć nie tylko dziewczyny, ale także dorastających chłopców. Z feministycznej młodzieżówki wyrosła samodzielna organizacja z własnym programem. Jedyne, czego brakowało, to silne przywództwo i plan działania. Ludzie się wykruzali. Aleksandrze zależało na tym, żeby grupa się nie rozpadła: – To była wtedy jedyna inicjatywa na mapie Polski, w której zastanawiano się, jak realnie dotrzeć z solidną, naukową wiedzą o seksie do młodzieży. Jedyna szalupa ratunkowa.

W Federze zauważono jej zaangażowanie. Dostała propozycję koordynowania grupy i ją przyjęła. Zaczęła prętnie organizować zebrania, formułować cele, począt-

kowo wciąż w ramach stażu. Na jednym z zebrań wymyśliła nową nazwę, która od razu się przyjęła. Zaczęły też pojawiać się nowe osoby. Wtedy nie wiedziała jeszcze, jak profesjonalnie weryfikować ich kompetencje. Szkolenia przyszły później. Najważniejsza była motywacja.

Także podczas rozmów rekrutacyjnych, które przeprowadzała już jako koordynatorka Pontonu, cieszyła się, kiedy kandydat czy kandydatka deklarowali, że chcieliby przyjść na praktyki, bo widzą swoją ścieżkę w seksuologii. Szczególnie poruszały ją jednak te osoby, które mówiły: „Chcę po prostu zrobić coś dla dziewczyn, moja przyjaciółka została zgwałcona, moja znajoma zaszła w niechcianą ciążę”. Miała też w pamięci swoje koleżanki, które rodziły jako szesnastolatki, i te, które nie miały szansy na stworzenie *girl gangu* wspierających przyjaciółek.

– Większość osób w Pontonie to młode kobiety. Sióstrzeństwo jest dla nich ważne. Może to kwestia większej zgody na „poświęcanie siebie” dla innych, może tego, że ta praca polega na wspieraniu, co stereotypowo w kulturze przypisuje się kobietom i wciąż tak wychowuje się dziewczynki? A może czują, że mają misję, coś ważnego do załatwienia z patriachatem, i dlatego przychodzą tak licznie?

Często słyszałam, że dobrze się tak wygadać, bo tego brakuje w jego, a częściej jej domu. W szkole zaś nie mają kogo zapytać.

OLA OD POCZĄTKU WIEDZIAŁA, że w Pontonie przede wszystkim muszą postawić na poradnictwo – telefoniczne, na forach internetowych, SMS-owe. Ważne były też akcje uliczne, happeningi. Wymyślali, jak najskuteczniej przyciągnąć uwagę do spraw związanych z edukacją seksualną. W walentynki 2012 roku wyszli na „Patelnię” – plac przed wejściem na stację metra Centrum w Warszawie – z hasłem „Zarażaj miłością, nie zakażaj HIV”. Nad stoiskiem z ulotkami rozwiesili sznurek, jak na pranie. Był rozpięty przez całą „Patelnię”, nie do przeoczenia. Każdy mógł napisać kilka słów wyjaśniających, czym dla niej lub dla niego jest bezpieczny seks, profilaktyka chorób przenoszonych drogą płciową. Wolontariusze ze stoiska rozdawali ulotki i zachęcali do wymyślania kreatywnych haseł i zdań. Aleksandra wspomina: – Pamiętam, że padały takie pomysły jak: „Do myszki tylko z gumką” czy „Bez rezerwy do prezerwatywy”. Ten nasz kreatywny, trochę od czapy performans sprawił, że wiedza nagle stawała się atrakcyjna, do zapamiętania.

Innym razem wymyślili tak zwane Bezpieczne Serduszko – kartonowe serce w filuternym „bereciku” z prezerwatywy, z którym można było sobie zrobić *selfie*. – Serce właściwie przez cały czas trwania akcji przechodziło z rąk do rąk, fantastycznie obrazując ideę zarażania miłością, ale nie zakażania HIV – przypomina sobie Ola.

Bardzo lubiła te akcje na „Patelni”. Jej zdaniem właśnie tam zbiera się tłum, który najlepiej oddaje przekrój polskiego społeczeństwa. Starsi i młodszy, spieszący się

do pracy i mamy na spacerach, handlarze i prorocy, muzyki i kochankowie czekający na randki z różami w rękach. Przesiaduje tam też młodzież, paląc papierosy i popijając z ukrycia alkohol. Kiedyś punki i hiphopowcy, dziś alternatywki i uczniowie ze szkół społecznych w markowych ciuchach. To miejsce, gdzie buzuje dużo emocji. Wolontariusze – a najczęściej wolontariuszki – Pontonu nigdy nie narzekali na brak zainteresowania, kiedy rozstawiali swój stolik i wyjmowali ulotki. W ciągu kilku godzin do stoiska podchodziło kilkaset osób i odchodziło z konkretną, przydatną wiedzą o bezpiecznym seksie.

Regularnie brali udział w marcowych manifach, w paradach równości, rozstawiali stoisko podczas letnich festiwali muzycznych, takich jak Woodstock czy Open'er. Pojawiali się wszędzie tam, gdzie gromadziła się młodzież. Czekali w pogotowiu, podsuwali informacje. Przez lata budowali też swoją stronę internetową – bazę wiedzy, w której zamieszczali doroczne raporty ze swojej działalności, recenzje książek, darmowe poradniki na temat antykoncepcji i o zgodzie na seks, materiały ćwiczeniowe dla uczniów i nauczycieli w obszarze przeciwdziałania przemocy, artykuły o tożsamości płciowej, ciąży, zdrowiu w okresie dojrzewania. Częścią strony jest też forum, gdzie można anonimowo zadać pytania.

– Przede wszystkim jednak – jak podkreśla Aleksandra – Ponton od początku chciał być obecny w szkole, być uzupełnieniem lub alternatywą dla systemowej edukacji.

—
PIERWSZE, CO ALEKSANDRA ZAUWAŻYŁA, rozpoczynając pracę w Pontonie, to fakt, że na lekcjach wychowania do życia w rodzinie (WDŻ) omawiano najczęściej bieżące problemy klasy, kwestie zdrowotne lub związane z religią katolicką. Nie były to tematy wymienione w podstawie programowej tego wprowadzonego w 1999 roku przedmiotu, ta zaś zawierała wszystkie zagadnienia, na których zależy edukatorom seksualnym: relacje, asertywność, tożsamość płciową, funkcje rozrodcze człowieka, antykoncepcję i zapobieganie przemocy na tle seksualnym.

– Te teoretyczne założenia nie były jednak realizowane – mówi Aleksandra. – Albo realizowane na opak: jeśli mówiono o antykoncepcji, to tylko w kontekście, że szkodzi zdrowiu, powoduje niepłodność lub impotencję. A jeśli o relacjach seksualnych, to jako o zagrożeniu lub aktywności, przed którą należy się powstrzymać przed ślubem, bo inaczej jest grzeszna.

Nawet w założenia programowe nie wpisano jednak zagadnień genderowych i kwestii antydyskryminacyjnych. Brakowało wiedzy, która pozwoliłaby młodzieży poczuć się pewnie ze swoimi wyborami. Sama nazwa przedmiotu jasno wskazuje kierunek tematyczny tych zajęć, o seksualności często nie ma na nich mowy.

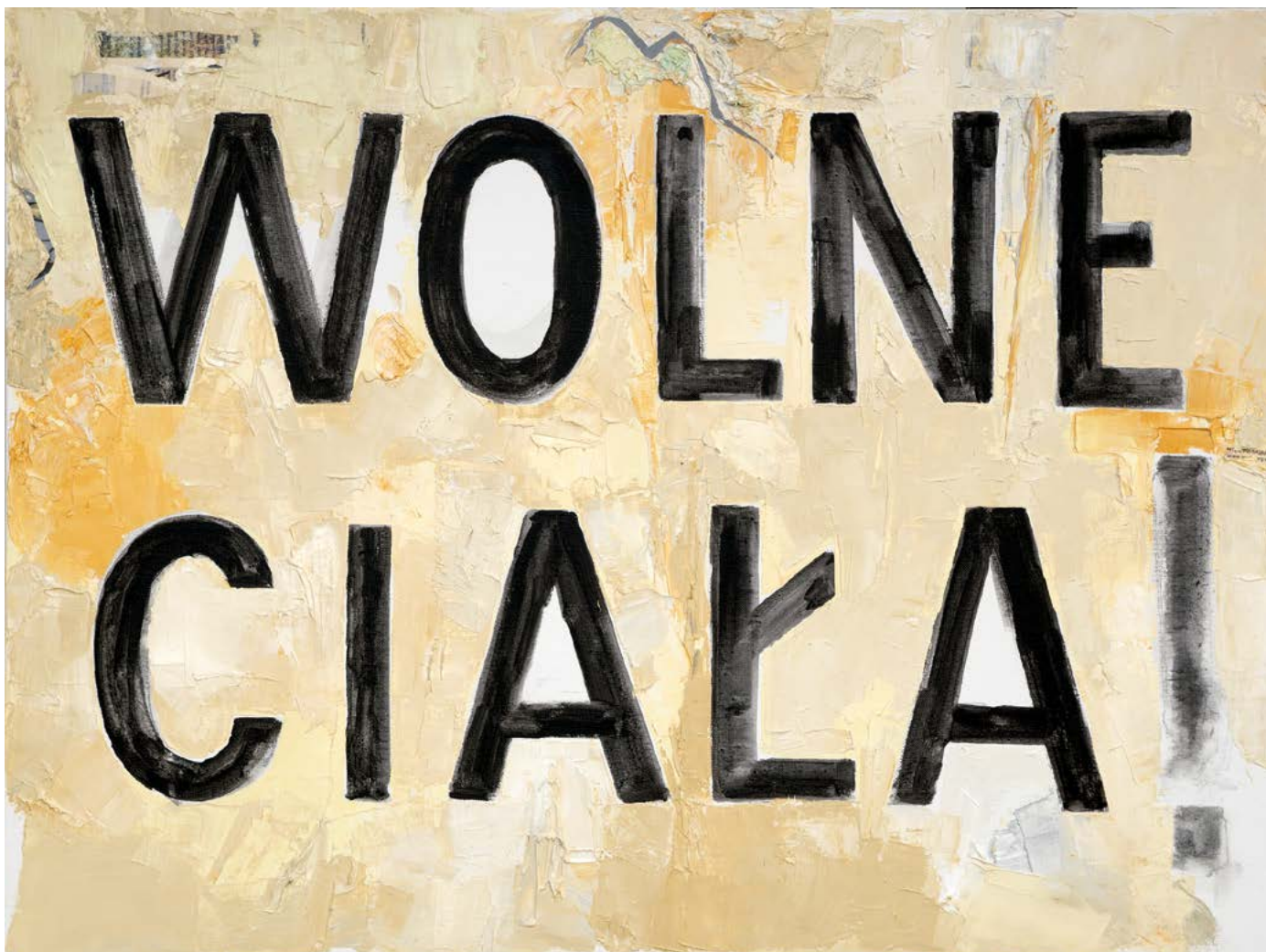
Tymczasem zgodnie z Ustawą o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży z 1993 roku wychowanie seksualne powinno być powszechnie obecne w polskich szkołach. Jej artykuł 4.1 głosi jednoznacznie: „Do programów nauczania szkolnego wprowadza się wiedzę o życiu seksualnym człowieka, o zasadach świadomego i odpowiedzialnego rodzicielstwa, o wartości rodziny, życia w fazie prenatalnej oraz metodach i środkach świadomej prokreacji”.

W praktyce jest ono jednak fakultatywne. Aleksandra tłumaczy mi, że jeśli rodzice są zainteresowani, żeby lekcje się odbywały, to owszem, szkoła musi je zorganizować i w tym sensie są one obowiązkowe. Z wieloletniego doświadczenia wie jednak, że najczęściej wygląda to tak, że nauczyciel rozmawia z rodzicami na zebraniu, przekonując: „Wiedzą państwo, dzieci mają teraz bardzo dużo nauki. Może lepiej tę lekcję przeznaczyć na dodatkową matematykę lub angielski”. I wtedy zajęć nie ma. Albo się odbywają, ale prowadzą je osoby tak niekompetentne, że uczeń przychodzi do domu i prosi rodzica: „Weź mi napisz brak zgody na uczestnictwo”. I po chwili też zajęć nie ma, bo nie ma zainteresowanych.

Grupa Ponton prowadzi autorskie warsztaty bazujące na wiedzy medycznej, seksuologicznej i prawnej, najczęściej trwające dwie lub trzy godziny lekcyjne, w warszawskich i podwarszawskich szkołach, czasem także w domach dziecka, świetlicach i ośrodkach socjoterapeutycznych. Zdarzyły się także zajęcia w zakładzie karnym dla kobiet. Edukatorzy zazwyczaj musiały zaczynać od korygowania stereotypów i błędnych przekonań. Aleksandra podaje mi przykłady szkodliwych informacji, na które najczęściej trafiała: – Słyszałam, że prezerwatywy mają pory, przez które przechodzą plemniki, lub że kiedy chłopak współżyje po alkoholu, to nie dojdzie do ciąży, bo plemniki były pijane. Dziewczyny zwierzały mi się, że ich higienie poświęca się mnóstwo uwagi, a chłopcy nigdy nie dostawali żadnych porad w tej sferze. Usłyszałam, że jak dziewczyna została zgwałcona, to znaczy, że po prostu prowokowała, że jak masz kolczyk w pępku, to pewnie zostaniesz dziwką, że kobieta, która współżyła przed ślubem, jest jak nadgryzione jabłko. A to tylko kilka przykładów. Wstrząsające jest to, że te informacje pochodzą często z lekcji WDŻ i są to prywatne poglądy prowadzących.

Edukatorzy Pontonu od lat w odpowiedzi opowiadają rzeczowo o fizjologii chłopców i dziewcząt, o metodach antykoncepcji, uzmysławiają zagrożenie zakażeniem wirusem HIV i chorobami przenoszonymi drogą płciową. Poruszają też tematy z zakresu kompleksowej edukacji seksualnej, takie jak ciało pozytywność, seks za zgodą, przemoc seksualna, emocje czy relacje związkowe i przyjacielskie. – Najważniejsze jest pokazanie nastolatkom, że zawsze mają wybór, nauczenie ich, żeby świadomie zajmowali własne stanowisko, niezależnie





obraz JADWIGA SAWICKA, *Wolne ciała*, 2019, olej, akryl, kolaż, płótno, 60 x 80 cm, dzięki uprzejmości artystki i galerii BWA Warszawa, zdjęcie M. Horwat

Instalacja artystyczna Jadwigi Sawickiej w ramach projektu *Plac Defilad*,
STUDIO teatrgalerii, od 18 czerwca o 20:00 do 5 września 2021 roku,
Plac Defilad 1 w Warszawie.